NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwartalnie 86·45 Marek, Półrocznie 172·90 Mk. Rocznie 345·80 Mrk. Ameryka: 7 dolarów rocznie.

Zmiana adresu 1 Markę.

Ceny ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 2 Mp., na miejscu specyalnie zastrzeżonem Mp. 2·80, za wiersz nonpareilowy jednoszpaltowy 4 Mp., za wiersz petitowy w części redakcyjnej 10 Mp.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 473.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: **Julian Bartoszewicz.**

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Legionów 21.

W Warszawie do nabycia wszędzie. **„Promień", Łódz, Piotrkowska 81.**

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 7 Marek.**

Rok XVII. Kraków, 21. sierpnia 1920. Nr. 34.

Obecna sytuacya w okolicach Warszawy



(Mapka do artykułu na stronie 2.)

Od Wydawnictwa.

Nowe podrożenie papieru, którego cena podskoczyła znów o sto pięćdziesiąt procent, podwyższenie opłat pocztowych, coraz większe trudności w zaopatrywanie się w chemikalia, niezbędne przy wykonywaniu klisz illustracyjnych (jedyna fabryka kwasów na Śląsku przyznana została Czechom), zmuszają nas do podniesienia ceny naszego wydawnictwa z dniem 1 września 1920 r.

Odtąd pojedynczy numer **„Nowości Illustrowanych“**, kosztować będzie

ośm (8) Marek polskich

tak w Krakowie jak i na prowincyi.

Odtąd wynosi zatem prenumerata **„Nowości illustrowanych“**:

kwartal. . . . . 98·80 Mkp.
półrocznie . . . 199 60 „
rocznie . . . . 399 20 „
pojedynczy egzemplarz 8 Mkp.

Przy tej sposobności zawiadamiamy, że, w celu ułatwienia P. T. Czytelnikom nabywania **„Nowości illustrowanych“**, tej jedynej dziś aktualnej polskiej illustracyi, przyznajemy

zniżkę dwudziestoprocentową

P. T. Urzędnikom i Wojskowym niższych stopni, Profesorom, Nauczycielstwu i kształcącej młodzieży, **o ile opłacą prenumeratę wprost w Centralnej Administracyi „Nowości illustrowanych“, Kraków, XV., ul. Kazimierza Wielkiego 95.**

Obecna sytuacya w okolicach Warszawy.

(Objaśnienie do mapki tytułowej).

Bolszewickie hordy w pochodzie swym zbliżyły się (w chwili, kiedy to piszemy) na 24 kilometrów do Warszawy. Stolica zbroi się i gotuje do zaciętej obrony. Sądzimy, że dla zoryentowania się naszych czytelników, należy im podać mapkę tej części b. Kongresówki, którą zalały wojska bolszewickie w pochodzie na Warszawę od strony północno wschodniej.

Widzimy u góry mapy zajęte przez bolszewików w ostatnich dwu tygodniach: Małkinię, Ostrów,



Zmiana w kierownictwie krakowskiego D. O. G.: Dotychczasowy komendant krak. Gen. Okr. jenerał Antoni Symon, przeniesiony na ważne stanowisko na Pomorzu.

Różan, Maków, Pułtusk, Ciechanów (dziś już przez nas odebrany), Przetycz, Wyszków itd. Przez ostatnie dni walka w pobliżu Warszawy odbywała się na linii Zegrze, Radzymin, Okuniew. Szczególnie zacięte były walki o Radzymin, który kilkakrotnie z rąk do rąk przechodził, aż ostatecznie został przez nas utrzymany.

Inna zwycięska walka odbyła się w rejonie Sochocina, o 8 km. na zachód od Nowego Miasta. Miejscowość ta znajduje się już poza granicami naszej mapki, równie jak linia Garwolin-Żelechów (na naszej mapce jest zaznaczona tylko kolej żelazna w kierunku Garwolina), na której odnieśliśmy stanowcze nad wrogiem zwycięstwo.

Zmiana w kierownictwie krakowskiego D. O. G.

Obecny stosunek, jaki panuje między wojskowością a naszem cywilnem społeczeństwem, nie przypomina w niczem dawnych c. k. austryackich czasów, kiedy to armia oddzielona była od reszty ludności chińskim murem, a każdy jej przedstawiciel, od najwyższego począwszy, na szeregowcu skończywszy, uważał się za stworzenie, ulepione z zupełnie innej gliny, niż jakaś tam „cywilna szufeca“. Tę zasadę wpajano w żołnierza od pierwszej chwili wstąpienia jego do szeregów.

Dziś jest zupełnie inaczej. Między naszą, polską armią a społeczeństwem cywilnem panuje zgodne współżycie. Żołnierza uczy się, że jest obywatelem kraju i ma wobec niego takie same prawa i obowiązki, jak i ci, którzy nie noszą na sobie munduru.

Zasługa to w pierwszej linii przełożonych, wpływających swym przykładem na podwładnych.

Do rzędu takich właśnie przełożonych należy bezsprzecznie jenerał Antoni Symon, dotychczasowy komendant krakowskiego D. O. G. W czasie swego półrocznego pobytu w naszem mieście na tak ważnem i odpowiedzialnem stanowisku potrafił sobie zjednać uznanie i sympatyę nie tylko wśród wojskowości, lecz i w najszerszych sferach naszego społeczeństwa. Był to żołnierz w całem tego słowa znaczeniu, ale równocześnie i obywatel. Dowodem tego sympatya, jaką sobie jenerał Symon potrafił zjednać wśród krakowskiego obywatelstwa, było jego pożegnanie na krakowskim dworcu kolejowym, gdy powołany został wyższym rozkazem do objęcia ważnego posterunku na Pomorzu. Żegnali go ze szczerym żalem przedstawiciele wszystkich sfer Krakowa, życząc powodzenia na nowem stanowisku.

Ale i wybór następcy był szczęśliwy. Ma nim, jak się dowiadujemy, zostać jenerał Zygmunt Zieliński, osobistość znana dobrze w Krakowie.

Za czasów austryackich pełnił jenerał Zieliński obowiązki oficera sztabowego w 13 pułku piechoty „krakowskich dzieci“, następnie w Legionach polskich, gdzie okrył swe nazwisko niespożytą sławą. Zdolny wódz, wymagający i energiczny przełożony, zjednał sobie pełną miłość i zaufanie podwładnych, którzy widzieli w nim nie zwyczajnego komendanta, lecz wyrozumiałego opiekuna i prawdziwego „towarzysza broni“. Za służbę w „Polskiem Korpusie pomocniczym“, podziękowali mu wdzięczni Austryacy internowaniem na Węgrzech i procesem w Marmarosz Sziget.

Jenerała Zielińskiego powita Kraków całem sercem, widząc w jego osobie rękojmię dalszego ciągo przyjacielskiego stosunku między armią polską a polskiem społeczeństwem.



Nasz wschodni front: Komendant armii ochotniczej generał Haller ze swoim sztabem.

Nasz wschodni front.

Opinia publiczna jest u nas stale bałamuconą przez niektóre pisma codzienne, które brak treści i autentycznych informacyj starają się zastąpić krzykliwymi tytułami. Zestawiając takowe choćby tylko w ciągu jednego tygodnia, dochodzi się do niemożliwych wprost rezultatów. To, co kilka dni temu było białe jak śnieg, nagle staje się czarniejszem od węgla, zależnie od tego, z jakiego źródła czerpie „nasz specyalny korespondent“ swą wiadomość.

Ot, choćby taki tylko drobny przykład:

Dni temu niespełna dziesięć, — stoczterdziesto tysięczna armia węgierska szła na pomoc Polsce, w trzy dni potem była jeszcze wprawdzie gotową do wymarszu. ale nie wiedziano, jaką obierze drogę, obecnie „wybitny polityk węgierski“ oświadczył „naszemu korespondentowi“, iż wogóle mobilizacya na Węgrzech jest wykluczoną i fizycznie niemożliwą.

Chcąc z tytułów artykulików wyrobić sobie zdanie o sytuacyi, musiałoby się zapatrywać na nią zbyt różowo, lub zbyt czarno, gdy natomiast wskazaną w tym wypadku jest jedynie droga pośrednia, odpowiadająca rzeczywistości.

Położenie na froncie nie jest najlepsze, ale też nie daje podstaw do zwątpienia w ostateczne zwycięstwo, które zależy od nas samych. To jedno jest pewnem że zdani jesteśmy sami na siebie i, jak przynajmniej stoją rzeczy w obecnej chwili, na obcą pomoc liczyć nie możemy, co najwyżej na zasilenie amunicyą i innym materyałem wojennym, o ile go naturalnie kochani sąsiedzi raczą przepuścić przez swe terytoryum.

Szło im o to, aby zająć tymczasem jak najwięcej polskiego terytoryum, posunąć się ku granicy Niemiec i ewentualnie zamknąć Polsce korytarz, wiodący do Gdańska, bo nie ulega kwestyi, że działają nie tyle w interesie idei bolszewickiej, ale Niemców, którzy kierują ich operacyami i zaopatrują w materyał wojenny. Po ich stronie stoi także *de facto* Koalicya, zwłaszcza Anglia, która swą polityką obłudną wielce się przyczyniała do swe wywrotowe teorye. Duch armii czerwonej, ociekający krwią niewinnych ofiar, upada z dnia na dzień. Naprzód pędzą ją rozkazy czerwonych carów, poparte karabinami maszynowymi, ale to nie może trwać wiecznie. I w ciemnym motłochu wyczerpie się cierpliwość, a wtedy wybije godzina porachunku ostatecznego dla katów Europy.



Nasz wschodni front: Młodzież polska w armii ochotniczej Hallera

Nasz front wschodni dzieli się obecnie na dwie części: północną, której punkt ciężkości znajduje się w okolicach Warszawy i południową, sięgającą ku granicy rumuńskiej. Na obu tych częściach armia nasza, liczebnie słabsza i fizycznie przemęczona, musiała się cofnąć. Nie był to jeszcze odwrót skutkiem przegranej, lecz przesunięcie się na dogodniejsze pozycye celem skrócenia frontu, tem łatwiejszej obrony, ewentualnie przygotowania się do kontrofenzywy.

Ci, którzy komunikaty wojenne nauczyli się czytać w austryackich czasach „między wierszami", byli przygotowani na najgorsze, wiedząc o tem, że wówczas każde „przegrupowanie" równało się klęsce. Tymczasem kroki te były nakazane względami strategicznymi, a że były trafnie obmyślane, świadczy wiadomość, że armii naszej udało się pod Warszawą rozbić zupełnie cztery dywizye bolszewickie, co zdawałoby się potwierdzać doniesienie, iż bolszewicy poza swą linią bojową nie posiadają rezerw, a nadzieję zwycięstwa opierają na liczebnej przewadze i nagłości uderzenia.

Ta taktyka zaczyna ich zawodzić, wszelkie bowiem zapędy czerwonej hordy rozbijają się o bohaterski opór naszego żołnierza, wykazującego nie dający się złamać żadnemi przeciwnościami hart ducha i nadludzką wprost siłę fizyczną i wytrwałość.

Teraz dopiero widzimy, dlaczego bolszewicy tak zwlekali z rozpoczęciem pertraktacyi pokojowych. ich powodzenia. Na froncie w okolicy Warszawy i w samej stolicy duch jest najlepszy; nikt nie wątpi w zwycięstwo, choć stracono nadzieję w pomoc koalicyjną w ludziach. Komisya francusko-angielska, która badała sytuacyę w Polsce, już wyjechała, po został jedynie jen. Weygand, należący do sztabu marszałka Focha, celem współpracy w polskim dowództwie.

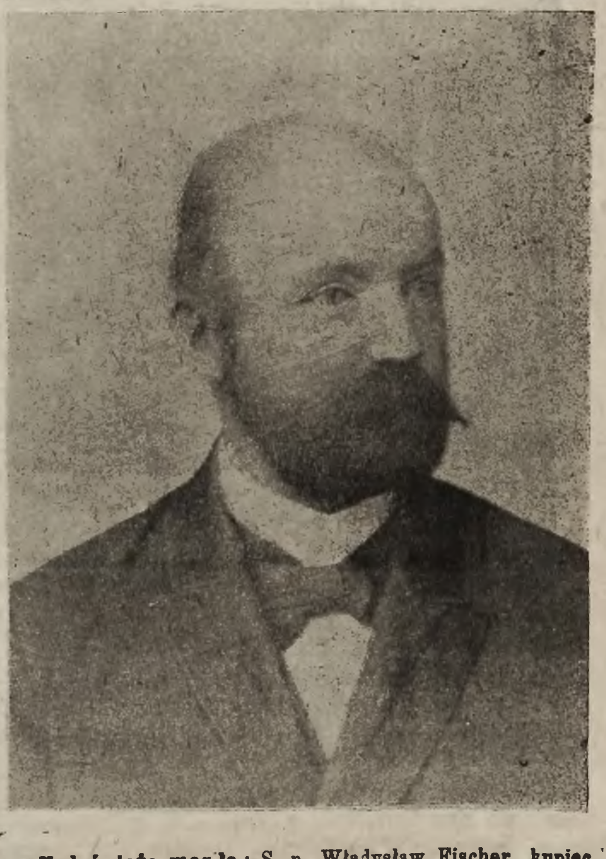
Natomiast tworzenie się armii ochotniczej postępuje raźno naprzód, a dzielne jej zastępy dały się już poprzednio bolszewikom we znaki. W sztabie jej wre gorączkowa praca pod kierunkiem generała Hallera. W Poznańskiem formuje się nadto armia rezerwowa pod komendą generała Raszewskiego. Wielu ochotników dostarcza także Górny Śląsk. Przybywają oni do szeregów armii ochotniczej w swych dawnych pruskich mundurach.

Na tym odcinku przyjdzie niezawodnie do decydującego starcia, które, jak się już dziś na to zanosi, musi wyjść na naszą korzyść i uchronić Warszawę a z nią i całą Polskę, od gniotącej ją zmory.

I południowy front nie jest w tak beznadziejnym położeniu, jak się komu może wydaje. Bolszewicy wdarli się wprawdzie na nasze terytoryum, spotykają się przecież wszędzie z zaciętym oporem, w stronę Lwowa się nie spiesząc, bo wiedzą, jak ciężki mieliby tu orzech do zgryzienia. Najdalej na zachód posunęli się w Lubelskiem, a pochód ten ułatwiła im zbrodnicza uprzednia działalność naszych komunistów, którzy bezkarnie szerzyli tutaj

Nad świeżą mogiłą.

Stary Kraków schodzi powoli do grobu. Zmienili się ludzie i zwyczaje, zmieniła się nawet fizyognomia samego miasta. Kto znał gród podwawelski



Nad świeżą mogiłą: S. p. Władysław Fischer, kupiec i obywatel m. Krakowa.

z przed lat pięćdziesięciu, a porówna go z dzisiejszym, znajdzie niesłychaną różnicę.

Odczuwać się daje zwłaszcza brak ludzi starej daty, tych prawdziwych przedstawicieli krakowskiego patrycyatu, którzy tak daleko i szeroko rozsiali po świecie sławę i znaczenie krakowskiego mieszczaństwa.

Niema ich już, ich następcy, to pokolenie karłów.

Jedną z takich typowych postaci krakowskich był zmarły w ubiegłym tygodniu w naszem mieście ś. p. Władysław Fischer, znany kupiec i obywatel.

Działalność swą rozpoczął ś. p. Zmarły na licznych polach życia społecznego, pracując owocnie w Kongregacyi kupieckiej, której w swoim czasie przewodniczył, Radzie miejskiej i licznych instytucyach zawodowych i dobroczynnych. Ofiarność jego była znaną, spieszył chętnie z pomocą prawdziwie





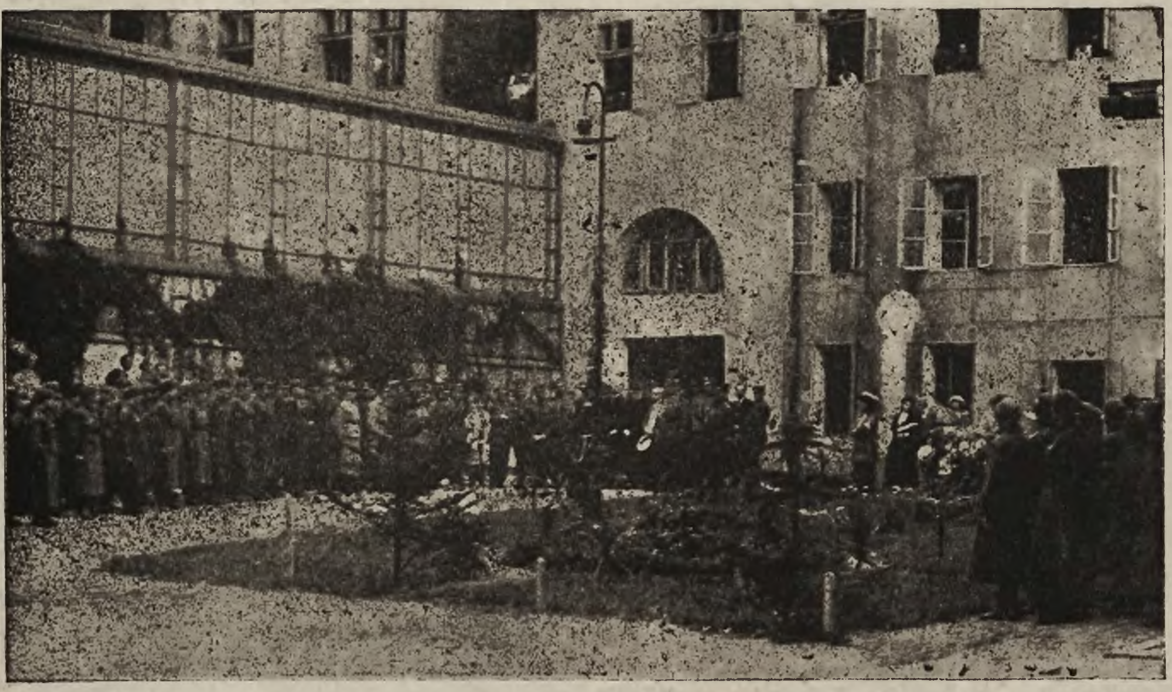
Nasz wschodni front:

Koalicyjna misya dyplomatyczno-wojskowa w Warszawie z gen. francuskim Weygandem (X). Żołnierze dywizyi poznańskiej umundurowani na sposób pruski.

potrzebującym. Jemu zawdzięcza swe powstanie kościółek w Bronowicach, przyczynił się wydatnie do restauracyi Maryackiego kościoła, corocznie otrzymywała biedna młodzież miejskich szkół ludowych z jego sklepu przy linii A B bezpłatnie przybory piśmienne.

W ostatnich latach usnnął się w zacisze domowego ogniska, przebywając przeważnie w Bronowicach w swej wiejskiej posiadłości.

Zmarł w 74 roku zasłużonego żywota, pozostawiając po sobie żal ogólny.



Zaprzysiężenie ochotniczek w Krakowie Przemowa O. Anioła do ochotniczek przed złożeniem przysięgi.

Zaprzysiężenie ochotniczek w Krakowie.

Zwolenniczki równouprawnienia kobiet żądają stale dla przedstawicielek swej płci takich samych praw, jakie mają mężczyźni, zamilczając natomiast dyskretnie o równych obowiązkach.

Z biegiem czasu zdobyły sobie kobiety zupełne równouprawnienie z rodzajem męskim, przyczyniła się zaś do tego głównie wojna światowa, wprowadzając zamęt w te dziedziny, w których zdawało się, że bez mężczyzn się nie obejdzie. Z konieczności musiały zastąpić mężczyzn i z zadania wywiązały się naogół zupełnie dobrze.

Ale wojna dała kobietom nie tylko żądane prawa, lecz przypomniała im i ich obowiązki, które, jako równouprawnione, powinny pełnić na równi z mężczyznami. A takim właśnie obowiązkiem jest służba wojskowa.

Gdy Rada Obrony Państwa wezwała obywateli do wstępowania w szeregi i obywatelki nie pozostały głuche na wezwanie. Ostatnio zmieniły wykwintne toalety na skromne mundury wojskowe, tworząc ochotniczą Legię kobiet, przeznaczoną do służby poza frontem. Zastąpią mężczyzn, którzy będą mogli odejść na front.

W ubiegłym tygodniu odbyło się w Krakowie zaprzysiężenie dwu kompanii ochotniczek, poprzedzone odprawieniem przez O. Anioła Kapucyna, nabożeństwem w kościele św. Piotra. Wzięli w niem udział przedstawiciele wojskowości, władz rządowych i miejskich, delegacyi Białego Krzyża i licznie zebrana publiczność.

Z kościoła udały się dwie kompanie ochotniczek, poprzedzone muzyką 2 pułku strzelców podhalańskich, ulicami Grodzką i Stradom na dziedziniec D. O. G., gdzie miały dokonać aktu przysięgi.

Patrząc na te maszerujące w wojskowym ordynku miarowym krokiem i z dziarską miną przedstawicielki „płci słabszej", niejeden z mężczyzn musiał przyznać w duchu, że jednak kobiety miały racyę, upominając się o swe prawa, ale i przyznając się na równi do obywatelskich obowiązków.

Na dziedzińcu D. O. G. zebrała się jeneralicya wraz z korpusem oficerskim, delegat Kowalikowski, wiceprezydent Rolle, reprezentanci Białego Krzyża i zaproszona publiczność. Do ochotniczek przemówił w gorących słowach O. Anioł, po przysiędze zaś jenerał Symon, wreszcie komendantka oddziału. Zakończyła defilada przed jeneralicyą i gośćmi.

W godzinę po tej pięknej uroczystości objęły ochotniczki, z karabinami ozdobionymi różami, na ramieniu, służbę na wyznaczonych im posterunkach.

I cóż na to nasi dzielni *rycerze*, walczący tylko językami po kawiarniach i restauracyach?... Czy ich nie wstyd?...

Nowy rząd rosyjski.

Prawdziwą niespodzianką dla całego świata było uznanie rządu jenerała Wrangla przez Francyę. — W chwili gdy Anglia pertraktuje z wysłannikami sowietów Kamieniewem i Krasinem, krok ten ze strony Milleranda, grozi zerwaniem między Anglią i Francyą, a nastąpił rzekomo w celu przekonania nacyonalistów francuskich, że rząd paryski nie pozostaje w zależności od londyńskiego.

Armia jenerała Wrangla w południowej Rosyi robi stale postępy, jak o tem świadczą ostatnie doniesienia, o doszczętnem rozbiciu pod Melitopolem wyborowego korpusu bolszewickiego Żłoby. Korpus ten stracił 10 500 ludzi, 35 dział i 260 kulomiotów. Zdobyto 6.000 koni, na które Wrangel wsadził swych spieszonych kozaków, a ci tak gruntownie zabrali się do bolszewików, iż w krótkim czasie obszar kilkunastokilometrowy pokrył się trupami, a bolszewickiemu dowódcy Żłobie udało się ujść zaledwie ze 150 jeźdźcami. Zdobyta na bolszewikach broń jest przeważnie niemieckiej proweniencyi.

Jenerał Wrangel — od czasu klęski Denikinaktórego był jednym z najwybitniejszych oficerów, — poświęcił się cały na zreformowanie nowej armii do walki z rozbitków pozostałej.

Jenerał Wrangel osobiście jest człowiekiem wielkiego militarnego talentu. Ma on przed sobą cel jedyny: powalić bolszewizm po to, by Rosyanom



Nowy rząd rosyjski: Generał Wrangel.

pozostawić wolny wybór dalszych losów. W tym celu powziął plan, który już wydał znaczne rezultaty, uznane przez Europę.

Oswobodziwszy Krym Wrangel teraz utrwala i umacnia swój front. Wojenne te operacye postępują wedle metody niezmiennej; jeśli tylko jakaś część kraju zostaje oswobodzoną, wojska przerywają swój pochód i wtedy zabierają się do jej zorganizowania. Wraz z ukończeniem tego zadania następuje dopiero nowa ofenzywa. Wojska niejednokrotnie chciałyby wyzyskać swe powodzenie i ścigać dalej wroga, ale generał jest nieugięty.

Ta taktyka znajduje olbrzymi oddźwięk w Rosyi jeszcze pamiętającej sowiety. Mile często oddziałki wojsk witane są z zapałem, jak w Taganrogu i okolicy, gdzie wieśniak, mimo żniw, dostarczył wszystkie możliwe furmanki do dyspozycyi armii, co dozwoliło Wranglowi spaść z taką szybkością na wroga, że wziął w niewolę całą bolszewicką kawaleryę. Poprzedza go, jak widać, uznanie.



Nasz wschodni front: Żołnierze bolszewiccy wzięci do niewoli przez nasze wojska.

MATYLDA SERAO

UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA
MARYA TOCZYSKA

5 I.

— Jesteś posłuszy, wiem o tem. Ale przyzywałem cię po dwakroć. Pamiętaj o tem.

Świszczący głos nieznajomego brzmiał twardo.

— Słyszałem... lecz nie byłem pewnym...

— Ja tylko jeden w ten sposób przywoływać mogę. Następnym razem nie wahaj się, tylko przybywaj.

— Starym jestem, panie; i krok mam powolny. Następnym razem biec będę.

— To dobrze. Jakie wiadomości mi przynosisz?

— W której sprawie?

— Jest jedna sprawa, która mnie bardzo obchodzi, Ale mów mi najsamprzód o tamtej.

— A więc to jest sprawa, hrabiny Loredans. Zakończona jest dobrze, panie.

— To znaczy?

— Młody hrabia Ranieri został jej przedstawiony dzisiaj, na raucie u księżnej Marescalebi.

— Jaki rezultat?

— Podobno hrabina podobała się bardzo młodemu Ranieri.

— Podobno? Więc to nie jest całkiem pewne?

— Nie. Znajomość jednodniowa.

— Spotkają się jeszcze?

— Mają nadzieję. Hrabina Loredans jest pewną zwycięstwa.

— To jest konieczne Monssa — wyrzekł nieznajomy rozkazującym głosem.

— Wiem — odparł starzec, potrząsając głową. Wiem to, aż nadto dobrze.

— Mówisz — aż nadto dobrze! — zawołał jego towarzysz. Czy chcesz powiedzieć przez to, że tamta sprawa jest na złej drodze?

— Na bardzo złej nawet — westchnął starzec.

Westchnienie podobne do gniewnego pomruku wybiegło z piersi nieznajomego.

— Ale któż, któż opierać się śmie mojej woli? — zawołał głosem zduszonym przez wściekłość.

— Kto? Ona! — zawołał Mojżesz Kabib.

— Jedna nędzna dziewczyna!

— Nędzna? Oh! nie tak nędzna jak się zdaje, panie! Ona jest pełna sił i woli!

— Jestem silniejszy od niej.

— Kochacie ją, panie — szepnął pokornie starzec, aby złagodzić jaskrawość tego oświadczenia.

— Kocham ją i nienawidzę!

— Chcecie ją widzieć potężną i szczęśliwą, wiem o tem — mówił dalej Mojżesz Kabib. Ale ona odpycha wasze zamiary.

— Ona mnie nie kocha! ona mnie nie kocha! — szepnął nieznajomy, pochylając głowę.

— Ona się was lęka mistrzu, a jednak wyzywa do walki.

— A ty, jej ojciec bezsilny jesteś co? Jakimże więc człowiekiem jesteś?

— Zagroziła mi, że się zabije, jeżeli zmuszać ją będę.

— Ona tego nie uczyni!

— Ona to uczyni! ona to uczyni. To jest córka moja, mistrzu.

— Kochasz ją! I chciałbyś żeby moją była?

— Chciałbym.

— Czy ty wiesz Monsa Kabib co jachę uczynić z twojej córki? z Racheli?

— Waszą żonę.

— To za mało.

— Towarzyszkę.

— Nie tylko to.

— Waszą królową?

— Jeszcze więcej.

— A więc cóż?

— Chcę z niej uczynić „rzecz inną" — wyrzekł mistrz głuchym głosem.

— Czy powiedzieliście jej to, mistrzu — wyszeptał zmięszanym, drżącym głosem starzec.

— Być może, że ona to zrozumiała i dla tej przyczyny właśnie odpycha mnie. Ja budzę w niej lęk.

— Budzicie go we wszystkich, panie.

— Ona uledz musi.

— Nie sądzę — rzekł Mojżesz z niepokojem. Ona kocha tego Ranieri Lambertini.

— Tego głupca!

— To jest piękny, młody człowiek.

— A ja jestem stary i brzydki.

— Młodość ją pociąga. On jest szlachetny.

— A ja jestem możny i potężny, Monsso.

— Tak mistrzu, ale Rachela go kocha.

— Zabiję go!

— Zabijesz i ja także!

— A więc co robić? Czyż życie moje, wola, bogactwo i sława niczem są wobec woli Racheli? Ze wszystkich walk wychodziłem zwycięzcą. Mamże być zwalczonym przez kobietę?

— Ah! ten Lambertini...

— Czy nie mówiłeś, że hrabina Loredans usidli go!?



— Stary jestem panie i krok mam powolny. Następnym razem biec będę.

— O ile będzie to w jej mocy! A przytem Rachela jest tak pewną jego miłości.

— Damy jej dowód jego zdrady.

— Trudno jej będzie uwierzyć.

Zamilkli na chwilę.

— W tem coś innego jeszcze być musi — odezwał się po jakimś czasie, podnosząc głowę.

— Co?

— Ta dziewczyna przechowuje w sobie myśli, które nam nie są znane.

— Nie sądzę.

— Tyle oporu zadziwia mnie.

— Miłość...

— Miłość nie wystarcza... jest coś jeszcze innego. Czuje ukrytego nieprzyjaciela w cieniu, Monsso. Patrz dobrze, obserwuj, badaj tę duszę... Ona jest pod władzą jaką, a tą władzą nie jest miłość...

— Czyż chcecie ją widzieć mistrzu? — zapytał nieśmiało starzec.

— Ona wstręt do mnie czuje.

— Zobacz się z nią — rozmów. Słowa twoje są wymowne... a wzrok twój tak przenikliwy.

— Wiem wszystko — odparł mistrz z dumą. Jej tajemnica także znaną mi będzie.

— Ty wiesz wszystko, panie — skłonił się pokornie Mojżesz. Czy przyjdziesz jutro?

— Nie... nie jutro.. nie. Nie chcę wychodzić za dnia! Przyjdę wieczorem... późno... Czy zastanę Rachelę?

— Czekać będzie.

— Nie chcę, byś ją uprzedzał. Nie uzbrajaj jej przeciw mnie, Monsso. Lepiej jak przybędę nieoczekiwany... Może pochwycę co z tej duszy zamkniętej.

— Dobrze, mistrzu. Czy żądasz jeszcze czego odemnie?

— Nie — Monsso. Dobranoc.

— Dobranoc, panie.

Mistrz pozostał na moście, podczas kiedy Mojżesz Kabib oddalał się wolno w stronę swojego sklepiku. Zastał Jakóba Weronę, drzemiącego przy wejściu na stołku.

— Chodźmy — rzekł do niego.

Zamknęli drzwi. Mojżesz klucz włożył do kieszeni. Jakób otworzył nędzny, bawełniany parasol i obydwaj nie spiesząc się podążyli ku domowi, zachowując milczenie. Jakób umierał z głodu i zmęczenia, stary Mojżesz zaś przeżywał raz jeszcze w pamięci całą swoją rozmowę z mistrzem. Więc córka jego ukrywała w sercu straszną jakąś tajemnicę!? Czy nie dosyć już było tej nieszczęsnej jej miłości dla Ranierego Lambertini, syna szlachetnej, arystokratycznej rodziny rzymskiej?

Więc oprócz miłości dla chrześcianina, stojącego tak daleko od niej, inne jeszcze cierpienie dręczyło jej młode życie?

— Czy byłeś w domu dziś rano? — zapytał nagle Jakóba.

— Tak, panie.

— Na śniadaniu.

— Tak; zaniosłem także pannie Racheli książkę, którą mieć pragnęła.

— Książkę? Jaką?

— Romans pod tytułem „Narzeczeni", Alfreda Maroni.

— Miałeś tę książkę?

— Nie. Kupiłem.

— Musiałeś dać za nią wiele pieniędzy?

— Zapłaciłem trzydzieści centimów. Była prawie nowa.

— Dzięki Bogu.

— Panna Rachela dała mi na to dwa franki.

— Dwa franki! Dwa franki! Skądże je miała?

— Niewiem.

— Ona kupuje książki, romanse! ona ma pieniądze, mój Boże! — jęknął Mojżesz Kabib.

— Panny Racheli nie było dziś rano w domu — dodał jeszcze Jakób Verona.

— Nie było jej w domu!? — zawołał stary, zatrzymując się nagle.

— Nie było — powtórzył obojętnie Jakób.

— A gdzież była?

— Niewiem.

— Wyszła powiadasz! — sama?

— Nie; wyszła z Różą, służącą.

— Czekałeś na nie?

— Tak; byłem głodny i chciałem jej dać książkę.

— Jak długo czekałeś?

— Może pół godziny. Ale niewiem kiedy wyszła.

— Ah! Skąd wracała?

— Nie powiedziała mi tego.

— Czy była wzruszoną, bladą, niespokojną?

— Tak, zdaje mi się, że była blada.

— Co ci mówiła?

— Podziękowała mi za książkę.

— Oddałeś jej resztę pieniędzy?

— Tak.

— Co ci dała na śniadanie?

— Mięso, pozostałe z wczorajszej wieczerzy, ale musiałem czekać aż je przyrządzą z cebulą. Roża była w złym humorze.

— A co Rachela robiła.

— Poszła do siebie na górę z książką.

— Czy znasz tę książkę?

— Ja? nie!

— To pewnie jedna z tych wstrętnych książek pisanych przez chrześcian.

(Ciąg dalszy nastąpi).

M. STAWISZ.

GORĄCZKA ZŁOTA

POWIEŚĆ

8

I.

— No, oczywiście, oczywiście — mruknął Grodzicki, bębniąc palcami po stole. — Przecież cię pod kuratelę wziąć nie mogę. Żałuję tylko teraz, żem dał Władkowi sposobność zarobienia tych dziesięciu tysięcy. Przy twojej wspaniałej głupocie gotowe one wam nieszczęście do domu sprowadzić.

— Gadasz zupełnie od sensu — irytowała się Gawlikowa. — W ten sam sposób, jak Władek zarobił te pieniądze, może teraz dalej zarabiać więcej.

— Nie, nie może. Te pieniądze były rzeczywiście uczciwie zarobione, ale taka gratka nie trafia się często. Jeżeli masz zamiar zmusić Władka, ażeby teraz sam na własną rękę interesów jakich szukał, to go doprowadzisz do kryminału! ostrzegam! Dziś rzeczywiście doskonała pora do łowienia ryb w mętnej wodzie, ale, jak powiadam, do czasu!

— Już niech cię o to głowa nie boli! już my sobie teraz damy radę.

— A więc jak widzę — wyrzekł ostro, powstając, — nie można z tobą dysputować, bo masz już plan ułożony, od którego nie odstąpisz. A co ty, Władek na to?

Gawlik, który siedział dotąd milczący, nie wtrącając się zupełnie do rozmowy, spojrzał trochę nieśmiało na szwagra i szepnął cicho, jakgdyby się wstydził własnych słów:

— Bo to widzisz, mój kochany... Kto wie, czy ona nie ma racyi... takie życie, to już kością w gardle człowiekowi stanęło... trzeba popróbować szczęścia.

— To sobie próbujcie, tylko ja na to patrzeć nie będę — wybuchnął Grodzicki. — I ciebie już, jak widzę, stary głupcze, ogarniać zaczyna ta wstrętna gorączka złota. Hodujcież ją sobie, tylko uważajcie, żeby się przeciwko wam nie odwróciła! Żegnam nas!

— Co to? odchodzisz? gniewasz się? — zawołał niespokojnie Gawlik.

— Wujku! — podsunęła się ku Grodzickiemu nieśmiało Staszka, która na ostatnie słowa rozmowy nadeszła z kuchni — niechże wujek nie idzie... co my tu bez wujka zrobimy?

— Co zrobicie? — zaśmiał się ironicznie Grodzicki. — To, co matka chcieć będzie! Widzisz przecie, że moja wola i rada tu nic nie znaczy...

— Bo jeżeli ktoś radzi same niedorzeczne rzeczy — wyrwała się Kazia, rada, że może Grodzickiemu dokuczyć.

— Ciebie o zdanie nie pytałem! — wyrzekł surowo, spojrzawszy na nią niechętnie. — Żeby nie twoja bezdenna głupota i próżność, matka inaczej może patrzałaby na wszystko. — Podszedł powoli do szwagra i wyciągnął do niego rękę:

— Władek, słuchaj, bądź mężczyzną, nie daj się opętać. Pamiętaj, że jeżeli dla dobrego celu potrzebować mnie będziesz, jestem zawsze na twoje usługi. I ty także na wujka liczyć możesz — zwrócił się do Staszki, całując ją w głowę. — Wiesz, gdzie mnie szukać. — I nie rzuciwszy nawet spojrzenia w stronę Gawlikowej, która zła i nadąsana siedziała pod oknem, wyszedł, odprowadzony do drzwi kuchni przez Staszkę.

IV.

I oto nadszedł czas zmian wszelakich w życiu rodziny Gawlików. Zdawało się, że ludzie ci wegetujący z przymusu w jarzmie codziennej szarzyzny i trosk, które od siebie zdrowym porywem ochoty do życia usuwać nie umieli, ogarnięci nagle zostali niezdrowym buntem niszczenia wokoło siebie wszelkich wspomnień niemiłej przeszłości. Jak ludzie zdecydowani na wszystko, byleby tylko już nie iść znanemi im ścieżkami, które w ich przekonaniu prowadziły do powolnej, niechybnej zguby — dążyli teraz przed siebie, gorączkowo, na oślep, omamieni magicznym widokiem złota, które stało się jedynym celem ich życia.

Szał przewrotnej ambicyi ogarnął do tego stopnia umysłem Gawlikowej, że wszystkie środki, mogące ją do tego upragnionego celu doprowadzić, zdawały się jej być dobre i potrzebne. Prędko potrafiła wciągnąć w krąg swoich pożądań nieopierającego się jej męża, który, zteroryzowany, olśniony już po trochę sam obrazami przyszłości, szedł za nią biernie, głusząc w sobie ostatnie przebłyski zdrowego rozsądku i uczciwości.

W zniszczeniu tem dopomagała jej dzielna Kazia, rozsiewająca wokoło siebie z całym porywem niecierpliwej młodości, pragnącej użycia, bunt już nieokiełzany przeciw warunkom, w których dotąd żyć była zmuszona.



— To sobie próbójcie, tylko ja na to patrzeć nie będę — wybuchnął Grodzicki.

— Miałam do tej pory za sobą dwie tylko potęgi — mówiła podniecona do matki — młodość i urodę! Teraz muszę zdobyć trzecią! Pieniądz! A tedy ja zacznę rządzić moim losem, a nie los mną!

Umysł jej zdeprawowany na romansidłach, któremi karmiła się namiętnie, nie mógł się już oderwać od nieprawdopodobnych wizyi i obrazów, którymi na wzór ulubionych swoich bohaterów otaczała się, zatracając już prawie świadomość życia realnego, nie targanego burzliwemi namiętnościami i chorobliwem przeżyciem.

Jedna tylko Staszka, zdziwionemi i niechętnemi oczami patrzała na to nagłe przeobrażenie się rodziny, nie śmiejąc jednak na razie reagować. Ona nie pragnęła wcale innego życia, byleby pozwolono jej uczyć się i widywać Franka.

Ostatnie to pragnienie musiała jednak z konieczności zagłuszyć w sobie. Jakże dalekim był szał jej matki i siostry, od skromnych, a tak drogich jej życzeń. Milczała więc, cierpiąc skrycie, nie biorąc wcale udziału w gorączkowym ruchu, który zapanował w całym domu, pocieszając się tylko codziennemi, poufnemi rozmowami z Felką.

Już od tygodnia Gawlikowie mieszkali w dwóch z tandeckim dobrobytem umeblowanych pokojach, wynajętych z wielkim trudem na Nowej Wsi. W mieście stosownego mieszkania znaleźć nie mogli wobec zupełnego ich braku, więc choć niechętnie, zdecydować się na to musieli.

Wielką pomocą dla Gawlikowej w przeprowadzeniu i pozbyciu się sklepu była Olearczykowa, z którą Gawlikowa postępowała teraz w protekcyonalny sposób, wyręczając się nią, gdzie mogła, opłacając jej trudy podarowaniem starej sukni, lub szklanką herbaty z rumem.

Gawlikowa rozmyślnie zatrzymywała starą handlarkę przy sobie. Wiedziała bowiem, że chodzi ona niekiedy do Szulców i rada była, aby fama o zmianie jej losu doszła do nich, budząc w nich tę zazdrość, którą ją samą tak długo męczyła. Bo Gawlikowa ani przez chwilę nie traciła nadziei, że jest już na drodze do zdobycia majątku, przewyższającego majątek Szulców i że rzecz ta jest tylko kwestyą kilku, lub tylko kilkunastu tygodni.

Część otrzymanych przez pośrednictwo Grodzickiego pieniędzy zużyła Gawlikowa na dokupienie nowych mebli, któremi przystroiła drugi pokój, mający służyć za salon do przyjmowania przewidywanych gości i interesantów Gawlika. Reszta zaś wręczona mu została z oficyalnym nakazem użycia ich na interesa, do których zresztą Gawlik wziął się bardzo chętnie, bo zajęcie to dało mu możność porzucenia dotychczasowej swojej pracy i przebywania w kawiarniach, do których ciągnęło go już oddawna.

Całe więc dnie teraz spędzał to u Bizanca, to w „Esplanadzie", węsząc za znajomymi i sposobem ubicia dobrego interesu. W pierwszych dniach nie szło mu jakoś, bo nieśmielony był i nie wciągnięty w nowy tryb życia, ale wkrótce, kiedy pierwsze lody przełamane zostały, i dzięki dawnym znajomym, pracującym w tym samym „fachu" co i on, wszedł w cały ten zawrotny „krąg interesów" sprzedaży, kupna i pośrednictwa, poczuł się bardzo zadowolony z siebie. Już nie potrzebował dowiadywać się, przewąchiwać i badać. Ludzie zupełnie mu obcy, najczęściej żydzi paskarze, mający wprawne oko i węch w tym kierunku nieomylny, odrazu wyczuli w nim pokrewną duszę i przyszłego wspólnika i sami przychodzili ofiarować mu swoje usługi i potrzeby.

W niedługim czasie nieśmiały, bezwolny Gawlik przeistoczył się na typowego aferzystę. Natrafił na porę jeszcze dobrą dla siebie. Na żniwo dobrych, łatwych interesów do zrealizowania. Handel wrzał w całej pełni. Trzeba było mieć tylko głowę nie od parady na karku i nie zanadto tkliwe sumienie, a majątek nie byle jaki mógł być zapewniony do końca życia. Szły fale łatwo pochwyconego złota z rąk do rąk, z rąk nie bardzo czystych, do jeszcze brudniejszych, szły szeptem wymówione słowa, grożące, niebezpieczne, tajemnicze, biegły westchnienia zawiści i przekleństwa tłumione, a czasem i łzy gorzkie, bezsilne tych upośledzonych twardą ręką losu, ginąc w zawrotnym chaosie, co kipiał wokoło, porywając ze sobą wszystko, miażdżąc słabszych, wywyższając silniejszych, w piekielnym pełzie, ku jedynemu bożkowi ówczesnej doby, ku bożkowi złota siejącym zatracenie...

I mało było ludzi, którychby ciężkim swoim oddechem nie sparzył, nie zakaził ten potwór ziejący lawą roztopionego złota. Zdawało się, że jakieś zatrute miazmaty przesycają powietrze, potrzebne piersiom do oddechania, kładąc się gęstym oparem na mózgach, ogień nieznany wlewając w żyły prężące pod naporem krwi niespokojnej. Potęga jakaś zła i demoniczna zaciążyła nagle na wolach i sumieniach ludzkich, w której ludzie jak pajace bezwolni posuwali się automatycznym, niesamowitym ruchem, biernie ulegając jej bezwzględnym rozkazom.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłómaczenie z angielskiego Marji Starczewskiej.

TOM I.

14

Pewną ręką dotknęła się jego słabej strony. Miał namiętność do zdobywania i przez medycynę zdobywał.

— Nie może pani oczekiwać, żebym się przyznał, że jestem przez cokolwiek opanowany — rzekł. — Mężczyzna, jeżeli jest prawdziwym mężczyzną, nie przyznaje się do niewolnictwa, nawet przed samym sobą.

— Oh! pan jest prawdziwym mężczyzną, lecz pan ma w sobie coś i z kobiety.

— Skąd pani wie o tem?

— Niewiem, czuję to.

— Odczuwanie jest wiedzą kobiety.

— A co jest wiedzą mężczyzny?

— Czy kobiety myślą, że mężczyźni jakąkolwiek wiedzę posiadają!

— Niektórzy posiadają — niebezpieczni mężczyźni jak pan.

— W czem jestem niebezpieczny?

— Jeżeli powiem, będzie pan nim jeszcze więcej; nie jestem szaloną, żeby kierować pańską bronią.

— Pani nie potrzebuje kierownictwa dla swej własnej.

To była prawie impertynencya, ale był pewien, że się nie obrazi, i w tem oceniał jej takt, a raczej brak taktu. Delikatność, szacunek, nie były przymiotem, których pragnęła u mężczyzn. Nigel byłby się modlił do jakiejś bladej Madonny, Iseacson wiedział, że ma do czynienia z wytartą, światową kobietą, a z ludźmi, jeżeli ich specyalnie nie lubił, rozmawiał, stosując się do ich charakteru, nie powstrzymując się, jak człowiek mówiący sam do siebie w ciemnym pokoju.

Uśmiechnęła się.

— Kobiety nie potrzebują kierownictwa, jeżeli tylko posiadają broń.

— Czy jest jaka kobieta bez niej.

— Tak, jest jedna.

— Jaka?

— Prawdziwie dobra kobieta.

Na chwilę zamilkł, uderzony śmiałością jej cynizmu, który błysnął nagle jak szabla, wyjęta z pochwy.

— Nie zgadzam się z tem Mrs. Chepstow! — rzekł, i w tej chwili był może człowiekiem, mówiącym do siebie w ciemności, jakim Nigel był tak często.

— Naturalnie, żaden mężczyzna na to się nie zgodzi.

— Dlaczego?

— Mężczyźni się nie przyznają, nawet przed samymi sobą, jaką bronią zostali zwyciężeni. Lecz kobiety dobrze wiedzą, jaką ta broń jest.

— Pani Manuffes, ale nie Baronowe Hulots.

— Baronowe Hulots się nie liczą.

— Czy to uogólnianie mężczyzn jest właściwem? Czy pani nie rozróżnia pomiędzy nimi?

Mówił spokojnie, bez przekąsu, którego zresztą nie czuł.

— Rozróżniam — rzekła — lecz tylko czasem, nie zawsze. Są czyny, wspólne wszystkim mężczyznom jakimikolwiekby byli, są rzeczy, które wszyscy mężczyźni czują, i to w ten sam sposób.

— Naprzykład, Nigel Armine i ja.

Nagły błysk — czy złośliwości? — zaświecił jej w oczach.

— Tak, nawet Mr. Armine i pan.

— Nie pytam się, jakie to są rzeczy.

— Może strona kobieca, która jest w pańskiej naturze, już dała odpowiedź. Zanim powiedziała „kobieca" zatrzymała się; Iseacson czuł, że wyraz, który miała na myśli i chciała powiedzieć był „żydowska".

Nie cierpiał jej znajomości jego charakteru, gdyż jej samej nie cierpiał, z drugiej jednak strony umysł jego był tem pobudzony do żywszej czynności, i to go bawiło. A uradowanie, którego ona doznawała, potęgowało w niej uczucie własnej wartości. Rozmowa między niemi toczyła się łatwo. Odkrył to, co już dawniej przypuszczał, że, jakkolwiek nie była w ścisłem znaczeniu intellektualną — co nieraz znaczy nudną — była więcej niż przeciętnie inteligentną. Lecz jej umysłowość, wydawała mu się twardą jak spiż, i jak spiż odbija światło, tak ona zdawała się odbijać zimne rysy jej charakteru. Zapomniał o spalonem, upalnem mieście, o katarynce i „La Manola". Pomimo jej uogólniania mężczyzn i niedopowiedzianemu przyznaniu się do głębokiej wiary w broń fizyczną, Mrs. Chepstow dobrze wybrała w swej zbrojowni. Jego umysł to przyznawał, znowu był łącznik między niemi.

Kiedy nareszcie wstał, rzekła mu:

— Przypuszczam, że pan wkrótce opuści Londyn?

— Prawdopodobnie wyjadę piętnastego. A pani zostaje?

— Niestety, tak. Pan się dziwi, co ja tutaj porabiam?

— Przyznaję się, że tak.

— Często przesiaduję na balkonie, jak pan wszedł, właśnie tam siedziałam.

Uczyniła ruch w stronę otwartych drzwi.

— Może pan zechce zobaczyć widok, jaki mam z niego?

— Owszem, proszę.

Idąc za nią zrozumiał nagle jej fizyczny urok. Ruchy miała wymowne, wydawały się one jej tylko właściwe. Były jakby integralną częścią charakteru — jej charakteru, miały prawie indywidualność wyrazu, jaka bywa we wzroku. A w jej charakterze, w jej indywidualności, pomięszane z tem, czego nienawidził, czy nie było czegoś, co czaruje? Zadał sobie to pytanie, stojąc obok niej na balkonie. Teraz opuściwszy jej pokój, na tej wysokości, uczuł gorącą ociężałość Londynu. Słońce jasno świeciło, powietrze było gorące i spokojne, widok rozległy, ale Iseacson czuł jakąś dziwną ponurość, która mu się wydawała okropniejszą od ponurości w zimie.

— Czy pani dużo czasu tutaj spędza — zapytał.

— Dużo. Siedzę tu i czytam. Czy panu się nie podoba?

Zwróciła swe duże, błyszczące oczy w dół na rzekę.

— Owszem, ale takiego dnia, jak dzisiaj, jest jakaś straszna ponurość w Londynie. Z pewnością pani ją czuje.

— Nie czuję takich rzeczy tego lata.

W głosie jej brzmiała nuta tryumfu, tak przynajmniej zdawało się Iseacsonowi; i to ciepło, jakby nadziei, które w niej był zauważył, stało się widoczniejszem, zmieniając całą powierzchowność.

Miewa się wewnętrzne przyjemności — dodała spokojnie.

Zwróciła się znów do niego. Jej wysoka postać — była od niego dużo wyższa — była rozkazująco piękna. Wąskie jej ręce trzymały mocno poręcz balkonu, lekkie przegięcie wysmukłej szyi, kiedy zwracała do niego swą głowę, uwydatniało jej delikatność. Żaden szczegół jej piękności nie uchodził oczu Iseacsona, który oddawał im sprawiedliwość.

— Pan myślał, że nie mam żadnych?

Postanowił rozmówić się z nią otwarciej. Do tej chwili utrzymywała rozmowę na pewnym ogólnym poziomie. Lecz teraz jej oczy go wyzywały, odpowiedział więc temu wyzwaniu.

— Czy pani zapomniała, jak wiele o niej wiem? — zapytał.

— Czy pan myśli o wieściach, które o mnie krążą?

— Myślę o tem, co mi pani sama powiedziała.

— Kiedy? Ah! w pańskim konsultacyjnym gabinecie? I pan wierzy we wszystko, co kobieta mu mówi?

Szydersko się uśmiechnęła.

— Wierzę tak mocno we wszystko, co mi pani powiedziała w moim konsultacyjnym gabinecie, jak mocno nie wierzę w to, co pani mówiła Armine'owi i mnie, kiedyśmy się spotkali wieczorem przy kolacyi.

— Na czem pan opiera swą wiarę i niewiarę?

— Przypuśćmy, że na moim instynkcie.

— Niech mu pan ufa, jeśli chce. Proszę tylko nie oczekiwać, że każdy mu będzie też ufał.

Jej ostatnie słowa brzmiały, jak nawpół ze śmiechem wypowiedziana pogróżka.

— Dlaczego inni mają ufać? — spytał spokojnie.

— Niech pański instynkt na to odpowie, kochany doktorze, — odrzekła łagodnie z uśmiechem.

— Muszę już się pożegnać i zostawić panią jej własnym przyjemnościom. Pani mi nie powiedziała, jakie one są.

— Czy pan nie może ich sobie wyobrazić?

— Duchowe — przypuszczam.

— Zgadł pan — mądry człowiek.

— A ewangelia Materyalizmu, o której pani z taką siłą mówiła? Gry, spacery, zabawy, teatr, podróż, jedzenie i picie; życie, którego motto „używajmy, gdyż jutro pomrzemy", a te typowe rozrywki dzisiejszego światowego życia, o których pani mówiła, że tak lubi? Pani je zastąpiła wewnętrznemi przyjemnościami?

— Tak, wewnętrznemi.

Jej uśmiechnięte oczy nie schodziły z jego twarzy. Wydawały mu się jak twarde, błękitne kamienie pod umalowanemi brwiami.

— Do widzenia — proszę mnie znów odwiedzić.

Podczas gdy Iseacson przechodził zwolna przez korytarz, Mrs. Chepstow wysunęła szufladę biurka i wyjęła paczkę listów, które tam wrzuciła, jak służący oznajmił doktora.

Wszystkie listy były od Nigla.

IX.

Iseacson nie odwiedził już Mrs. Chepstow przed wyjazdem z Londynu na wakacye. Nieraz zamyślał pójść; z jednej strony ciągnęła go tam intellektualna ciekawość, lecz z drugiej, coś się burzyło przeciw temu. Czuł, że jego lepsza strona charakteru była przez Mrs. Chepstow zupełnie pominięta, po co miał się troszczyć o to, co ona w nim widziała, albo co myślała? Zadawał sobie to pytanie, lecz kiedy na nie odpowiadał, był zmuszony przyznać, że uczyniła na nim wielkie wrażenie. Wrażenie to było ujemne, lecz bardzo jasne, a jasność ta dawała miarę jej siły. Miał się na baczności, że tak bardzo nie lubiąc Mrs. Chepstow, będąc od niej odpychany przez rodzaj moralnego wstrętu, jeżeli zacznie ją widywać często, przyjdzie do tego, że będzie pragnął jej towarzystwa. Nigdy nie miał tego uczucia względem żadnej innej kobiety. Czy w nienawiści jest atrakcya? Przy świetle swej nienawiści do Mrs. Chepstow Iseacson widział jasno, dlaczego ona pociąga Nigla. Lecz w tych wewnętrznych swych dyskusyach żydostwo pobiło jego itellektualną ciekawość, i nie poszedł więcej do Savoy.

Wakacye spędził samotnie nad jeziorem Como. Każdego roku dawał sobie odpoczynek po pracy — pracy, która go zmuszała do ciągłego przebywania z ludźmi. Łowił ryby w zielonem jeziorze, rysował szkice w ślicznym ogrodzie prawie opustoszałego hotelu, i spędzał codzień kilka godzin na naukowych studyach. Tego lata czytał o pewnych mniej znanych roślinach trujących i ich skutkach. Mając dużo wyobraźni, uważał te czynniki zniszczenia jakby za żywe istoty, i dziwne godziny z nimi spędzał. Czasem podnosił głowę z nad książki, lub swych notatek, i widząc ciche, zielonkawe wody jeziora, wysokie góry, wznoszące swe szczyty w błękit nieba, wyobrażał sobie, że jest podróżnym, który idzie drogą, pełną strachów i okropności, i zatrzymuje się, żeby spojrzeć na otaczające go piękno. Albo też pracując w nocnych godzinach, kiedy intenzywna czynność mózgu czyniła go głuchym na zewnętrzne dźwięki, słyszał głos dzwonów — dzwonów w cichych wodach, i na śpiących wybrzeżach. Podnosił głowę i słuchał-aż dziwy nocy ze strasznemi zbrodniami i poetycznemi czarami poruszały i przenikały jego duszę. I porównywał swe dwa życia — to przy jeziorze, zapełnione nauką i marzeniem, samotne, i to drugie, w gwarze Londynu, wśród tłumu ludzi, przechodzących przez jego pokój. Wydawało mu się, że jest w nim dwóch ludzi, może więcej niż dwóch.

Cztery tygodnie prędko zeszły nad jeziorem, nastąpiły dwa tygodnie podróży, Medyolan, Monachium, Berlin, Paryż i znowu był w Londynie, u siebie.

O Niglu i o Mrs. Chepstow nic nie słyszał. Wrzesień skonał w brunatnych objęciach października, kiedy wreszcie nadszedł list od Nigla. Był wysłany ze Stock-Honse, myśliwskiego pawilonu w Szkocyi i donosił o prędkim powrocie na południe.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika tygodniowa

Gdy się Cziczerin dowiedział przez swych zaufanych, że kronikarz podał w ubiegłym tygodniu projekt utworzenia w Polsce wielkiej armii, złożonej z tych, którzy do służby frontowej i pomocniczej się nie nadają, zatrzęsły mu się łydki i odwlókł znów rozpoczęcie rokowań o rozejm i pokój, ale tym razem ze strachu. — Zwołano natychmiast naradę, w której wzięli udział Lenin i Trocki, Sobelsohn, Finkelstein, Silberzweig, Nachamkes i inni „istinno ruscy“, celem zastanowienia się nad tem, czy w ewentualnych warunkach pokoju nie pomieścić, jako punkt pierwszy, żądania zniesienia tej armii.

Jak donosi moskiewska stacya radiotelegraficzna, która w tym dniu wyjątkowo nie cierpiała na żadne dolegliwości i funkcyonowała zupełnie po europejsku, Cziczerin zasięgnął przedewszystkiem opinii Radka Sobelsohna, jako znawcy naszych stosunków.

— Pan, panie Radek, o ile się nie mylę, z dawnej Galicyi?

— Tak!... Z samego Tarnowa...

— To pan zna społeczeństwo polskie?

— Jak swoją własną kieszeń... Zresztą, o ile mnie pan nie wierzy, proszę zapytać Dzierżyńskiego... On znów jest Żołyniakiem...

— Zołynia... Żołynia... — powtarzał Cziczerin — Coś sobie przypominam z geografii... Aha!... Już wiem, tam jest dużo szewców!... Bo trzeba wam wiedzieć, że ja teraz na gwałt studyuję różne podręczniki geografii, aby módz w układzie pokojowym dokładnie wykreślić granice etnograficznej Polski... Ale mniejsza z tem na razie, jeszcze dużo wody upłynie, nim się zgodzimy na rozejm i pokój, bo my mamy swoje interesy, a Lloyd George swoje...

— A Polska?... — spytał Radek.

— Ona może mieć, albo i nie mieć, ale ją nikt nie będzie pytał o zdanie!... Mnie głównie chodzi o to, aby mi pan, panie Radek, jako znawca, jak sam powiadasz, galicyjskich stosunków, powiedział, czy ta armia, do której utworzenia nawołuje kronikarz „Nowości illustrowanych“, nie może się stać niebezpieczną dla nas i dla naszej sprawy?... Bo, pomyśl tylko, w Polsce takich niezdatnych do służby wojskowej, a mogących łatwo dać tygodniowo pięć marek, powinno się znaleźć na pierwsze zawołanie ze dwa miliony. A to liczba poważna, kwota zaś zebrana w ten sposób, może bardzo wydatnie zasilić kasę Armii ochotniczej, ewentualnie Komitetu Obrony Państwa... Uda się im to przedsięwzięcie, czy nie?... Co pan na to, panie Radek?

— Ja jestem zdania, że niema powodów do obawy. W Polsce zapału wprawdzie nie brak, ale on bardzo przypomina ognie bengalskie. Zapala się nagle, strzela jasnym płomieniem, ale jeszcze prędzej gaśnie. Projekt jest wcale trafny i podoba mi się, o ile przecież znam swoich rodaków, mogę pana upewnić, że podzieli on los tylu innych... Może ten i ów go pochwali, może nawet nadeśle jaką kwotę, ale bardzo rychło o tem zapomni, mając głowę zajętą innemi, ważniejszemi sprawami, niż potrzeby Ojczyzny...

— Tak pan sądzi?... A cóż pan na to, panie Dzierżyński?

— Podzielam w zupełności zdanie kolegi Radka!... Możemy być pewni, że z tej strony nie grozi nam niebezpieczeństwo.

— Zdjęliście mi panowie kamień z serca!... — rzekł z ulgą Cziczerin, jak gdyby pękł mu czyrak, który mu od dłuższego czasu dokuczał.

Warto się przecież zastanowić nad tem, czy Radek i Dzierżyński nie mieli przypadkowo racyi i że bynajmniej nie przesadzili, pomawiając nas o słomiane zapały.

Rozmaitego rodzaju projektów pojawia się u nas, jak zresztą wszędzie indziej, bardzo wiele, a jest między nimi niejeden taki, który zasługuje na wzięcie pod rozwagę.

Rozważa go też projektodawca i jego najbliższe otoczenie, reszta może w duchu godzi się nań, ale w praktyce go zwalcza, jako nie od niej pochodzący. Ci zaś, którzy w tworzenie projektów się nie bawią i osobistego zobowiązania wobec projektodawcy nie czują, biją głośno brawo, wołają z entuzyazmem, że projekt śliczny, praktyczny i t. d., ale też i na tem się kończy. Ginie w krótkim czasie z powodu braku poparcia, choć na nie zasługiwał w zupełności.

A dowodów tego mamy na każdym kroku aż nazbyt wiele. Ot, będzie może rok temu, może trochę mniej, jak zjechał do Krakowa pewien generał, cieszący się w całej Polsce zasłużoną sympatyą. Krakowskie panie postanowiły go uczcić, ale, ponieważ dzielą się na dwie główne grupy, z których jednej osią jest pani X., a drugiej pani Y., a jedna i druga dostałaby żółtaczki, gdyby utrzymał się projekt współzawodniczki, musiał generał być przez dwa dni z rzędu przedmiotem owacyi, raz jednej grupy, potem znów drugiej.

Choć i to dobrze, że się projekty utrzymały, łatwo bowiem mogły pójść w zapomnienie. Pani A, B, C, lub D, choć projekt chwaliła głośno i obiecywała poprzeć całym swym wpływem, nie mogąc strawić, że nie od niej pochodzi, jeśli go otwarcie lub skrycie nie zwalcza, co najmniej „topi go w zapomnienia fali“.

I to jest zwykły los większej części projektów, które w samej rzeczy buchają nagle jasnym płomieniem, ale jeszcze prędzej gasną, zostawiając po sobie jeno woń niemiłą, przypominającą, że choć można było coś zrobić dobrego lub mądrego, nie zrobiono tego z tego jedynie powodu, iż z projektem wystąpił ktoś inny.

Tak postępują nie tylko jednostki, ale całe stronnictwa, instytucye, korporacye, od tej wady nie jest wolną i prasa, chwaląca tylko swoje własne projekty, by przypadkiem nie musieć z tego powodu zareklamować swego współkonkurenta, lub nawet i choćby kogoś wobec siebie najzupełniej neutralnego!

Przypuśćmy jednak, że projekt się przyjął, że znalazł poparcie prasy i ogółu, a rozchodzi się o jakieś świadczenie na rzecz ogółu, tak, jak to jest w obecnym wypadku z A. N. (Armią niedołęgów — do wiadomości tych, którzy poprzedniej kroniki nie czytali), każdy gotów jest do propagowania pięknej idei, chcąc w ten sposób ochronić swą kieszeń od tak drobnego wydatku, jak pięć marek na tydzień, wychodzi bowiem z założenia, że zawiele dwa grzyby w barszcz, to jest, że kto daje swą pracę nie powinien być narażony jeszcze i na wydatki. Jedni zajmują się propagandą, drudzy płacą. To jednak bieda, że ten udział w propagandzie ogranicza się zazwyczaj na łaskawem zezwoleniu na umieszczenie swego nazwiska na liście członków komitetu. Na posiedzenia taki pan nie chodzi, gdyż nie pozwalają mu na to zajęcia zawodowe (panie chodzą pilnie, gdyż mają sposobność się wygadać!...), jeśli zaś wręczono mu listę składkową, schował ją spokojnie do kieszeni i... zapomniał o niej.

Coś podobnego powtarza się i przy okazyi każdego „dnia kwiatka“. Zbierających jest cały legion, kwestujących jest cały legion, ale żaden i żadna nie da od siebie ani feniga.

Dobrze jeszcze, jeśli na tem się skończy!... Jeśli w komitecie są jakie płatne miejsca, a bez tego się przy rozgałęzionych agendach ich nie obejdzie, członkowie są gotowi do ich objęcia, lub protegują na nie swych kuzynów i kuzynki. A że „wpływowym osobom“ nie można się narazić, tworzy się takie posady, choć się bez nich można łatwo obejść i stąd to pochodzi, że lwią część wpływów pożerają koszta administracyi, a instytucya, na której cel zbierano grosz publiczny, otrzymuje bardzo mało, albo zupełnie nic.

Przypuśćmy jednak, że lista składkowa dostała się w ręce człowieka, który sam zrobił dobry początek i złożył na cel szlachetny pokaźną kwotę, zwróci się do jednego i drugiego ze znajomych, prosząc o składkę, ale każdy, choć uważa, że cel bardzo wzniosły i godny poparcia, znajduje zaraz jakąś wymówkę.

— Dałbym chętnie — mówi jeden — ale akurat jestem bez grosza, gdyż moja stara wyciągnęła odemnie ostatnie dwa tysiące koron na nowy kapelusz. Bierze udział w niedzielę w festynie na rzecz afrykańskich dzieci i powiada, że jako komitetowa, w zeszłorocznym kapeluszu nie może się pokazać między ludźmi!... Nie ma pan pojęcia, ile ja w ten sposób składam corocznie pieniędzy na ołtarzu ofiarności publicznej!...

— Cierpliwości łaskawco! — powiada drugi. — Nie chcę być pierwszym na liście, aby ludzie nie powiedzieli, że im chcę w ten sposób imponować... Niech się pan zwróci najpierw do innych!... Zobaczę, ile kto złożył i wtedy będę wiedzieć, ile mam dać!... Nie wypada, bym złożył więcej niż mój przełożony, gdyż mógłby mi to wziąć za złe. To zaszkodziłoby mi przy awansie, którego się właśnie spodziewam!...

Inny znów utrzymuje, że „bez jednego żołnierza będzie wojna“ i nikt nawet uwagi nie zwróci na to, że jego nazwiska nie widzi na liście ofiarodawców.

Nie brak także i takich, którzy gdy się kto do nich zwróci z prośbą o jakieś świadczenie na cele dobroczynne, nie mają słów na wyrażenie swego oburzenia na jakie to przykrości narażony jest spokojny obywatel.

— Tego dziadowania już zadużo!... — mówi — Dzień cały musiałoby się rękę trzymać w kieszeni!... Mnie nikt nic nie da, jeśli potrzebuję czego!... Muszę za wszystko słono płacić!... Prawdziwe nieszczęście, jeżeli kogo posądzają o to, że ma pieniądze!...

I choć ich w samej rzeczy mają dość, nie wahają się skorzystać z każdej sposobności, jeżeli się tylko uda, dostać coś *gratis* z jakichś darów amerykańskich lub czegoś podobnego. Do brania zapomóg są także pierwsi i, przyznać trzeba, udaje się im to dzięki stosunkom, protekcyi i t. d.

Pewnemu dziennikarzowi, który w samej rzeczy dzięki wojnie znalazł się w położeniu bez wyjścia, przyznała pewna wojenna instytucya kredytowa swojego czasu dwa tysiące koron pożyczki, gdy natomiast dwu adwokatów, którzy rozporządzają milionami, podniesło w tym samym dniu przyznane im pożyczki po cztery tysiące.

Prawda, że dają oni większą gwarancyę zwrotu, niż taki golec, jak dziennikarz, ale nie trzeba zapominać, że zakład ten utworzono w tym celu, aby niósł pomoc tym, którzy jej potrzebują, a nie bogaczom, którzy łakomią się na niski procent.

Zupełnie podobnie ma się rzecz z świadczeniami osobistemi, jak naprzykład z werbunkiem do armii ochotniczej lub bodaj gwardyi obywatelskiej.

W pierwszej chwili uznano ogólnie, że jest świętym obowiązkiem każdego obywatela pospieszyć na wezwanie R. O. P., wieczorem, przy bombie piwa ten i ów wybierał się nawet w drogę i żegnał z towarzyszami, którzy go zapewniali, że spotkają się z nim niedługo. I w samej rzeczy spotkali się i to już nazajutrz przy tym samym stole i spotykają dotąd codziennie, pokazało się bowiem, że temu nie pozwalają interesy, tamtemu zdrowie, innemu żona, a są i tacy, którzy właśnie w tym czasie muszą wyjechać na świeże powietrze dla poratowania zdrowia i aby nie stracić najlepszej pory na łowienie pstrągów.

Gdy w r. 1880 urządzano na cześć cesarza Franciszka Józefa, bawiącego wówczas w Krakowie, konną banderyę Krakusów, dowódca jej, uniesiony c. k. patryotyzmem, oświadczył cesarzowi, że na jego rozkaz może takich jeźdźców stanąć sto tysięcy...

Dziś woła o to Ojczyzna, a gdzież oni są?... Jak owi biblijni sludzy, każdy pędzi za swym interesem i nikt o tem myśleć nie ma czasu, że Ojczyzna potrzebuje pomocy, choć w głębi duszy sam przyznaje, że jest do tego obowiązany.

Gdyby jednak ogłoszono mobilizacyę do... banderyi na jaki nowy jubileusz do Wiednia, z pewnością zgłosiłoby się ochotników więcej, niż potrzeba, nawet takich, co ich to musi się podsadzać, aby się dostali na siodło. Tam jednak pachnął temu orderek, tamtemu jakiś koncesik, a teraz tego nie obiecują, owszem można narazić swe zdrowie i życie, a do tego żaden z tych patryotów nie ma ochoty. Każdy jednak bawi się w propagandę i wysyła drugich, byle tylko jemu dano spokój.

— Bez jednego żołnierza będzie wojna!... — tak każdy z nich stale powtarza, ale ponieważ takich są w samym Krakowie tysiące, nic zatem dziwnego, że cała akcya idzie opornie i że Radek oraz Dzierżyński bynajmniej nie wprowadzali w błąd Cziczerina, charakteryzując mu w ten sposób polskie społeczeństwo.

Z ręką na sercu, ale z bólem w jego głębi, musimy przyznać, że przecież mieli obaj racyę. Nasz słomiany zapał paraliżuje nieraz najszlachetniejsze przedsięwzięcia.

Kronikarz nie chce przesądzać, jaki los spotka jego projekt, jak chyba każdy przyzna na czasie. Zostanie przyjęty w takim razie będzie pierwszym, który złoży swój podatek. Jeśli zaś społeczeństwo przejdzie nad niem do porządku dziennego, nie odbierze sobie z rozpaczy życia, sądząc o tem, że nie jest pierwszym ani ostatnim którego projekt spełzł na niczem. Swój grosz wdowi złoży w każdym razie. Ale też wówczas zabierze się ostro do tych co to „niedołęgów“ udają i o ile rozchodzi się o wstąpienie do wojska, ale nie chcą się do tego przyznać, ba uważają to za uwłaczające ich honorowi (oni chcą do szeregu... ale nie mogą...) bo żal im pięć marek tygodniowo.

A ile ich wydają prawie co dzień (raczej co noc...), o tem mogłyby powiedzieć różne lokale restauracyjne i kawiarniane i t. d. Łatwo zarobiony pieniądz łatwo się też rozchodzi, ciężko mu jedynie wydobyć się z kieszeni, jeśli ma być obrócony na cel szlachetny i wzniosły.

Załatwiwszy się z jedną sprawą, miałem zamiar zająć się sytuacyą polityczną, niestety, brakło miejsca. Może to zresztą i lepiej, tymczasem pozbieram rozmaite wiadomości „na własnym drucie“ (naturalnie z parasola, gdyż z niego tylko druty zostały!...). Telegrafom bez drutu nie dowierzam, przekonaliśmy się bowiem, że n. p. moskiewski jest stale pijany i depesz przyjmować nie chce. A pozostając w ścisłym kontakcie z Lloydem George'm i Cziczerinem, będę więc mógł służyć autentycznemi wiadomościami z pierwszej ręki.

Tragiczna śmierć polskiego lotnika.

Lotnictwo rozwinęło się w ostatnich czasach do niebywałych wprost rozmiarów, a w ciągu obecnej wojny święciło niejednokrotnie prawdziwe tryumfy. Walki, toczone dotąd na lądzie i wodzie, przeniosły się w przestworza, które geniusz ludzki zdobył i ujarzmił. Fantastyczne powieści o podróżach w powietrzu stały się dziś rzeczywistością i, gdyby nie wojna, regularna komunikacya powietrzna byłaby dziś już rozwiniętą w całym cywilizowanym świecie.

Aparaty lotnicze doprowadzono niemal do doskonałości, mimo to słyszy się często i czyta o katastrofach, których ofiarą padają najdoskonalsi piloci. I dziwnym jakimś zbiegiem okoliczności, ci właśnie, którzy tylekroć narażali się na śmierć od kuli nieprzyjacielskiej i z najcięższych opresyi wychodzili stale bez szwanku, giną tragiczną śmiercią skutkiem nieszczęśliwego wypadku daleko poza frontem.

Taki tragiczny wypadek wydarzył się w ubiegłym tygodniu we Lwowie, na tamtejszem lotnisku, pociągając za sobą śmierć jednego z najdzielniejszych naszych pilotów, kapitana Stefana Bastyra, szefa lotnictwa VI armii.

Około godziny 10 rano kapitan Bastyr próbował nowo zmontowany aparat, systemu Fokkera i wzbił się w powietrze na wysokość około 700 metrów. Podczas wykonywania tzw. loupingu, aparat z niewiadomych powodów zepsuł się i całym ciężarem począł spadać. O ratunku nie było mowy. Kapitan Bastyr zginął na miejscu.

Tragiczna śmierć jednego z najdzielniejszych



Tragiczna śmierć polskiego lotnika: Trumna ze zwłokami ś. p. kapitana Bastyra, szefa lotnictwa VI armii.



Tragiczna śmierć polskiego lotnika: Rodzina ś. p. kap. Bastyra i przedstawiciele wojskowości z jenerałami Iwaszkiewiczem i Lamezanem na czele w orszaku pogrzebowym.

oficerów-pilotów, znakomitego organizatora i zasłużonego obrońcy Lwowa, który od dwu lat prawie pełnił niezwykle ciężką służbę wywiadowczą i bojową na froncie, wywołała w sferach wojskowych wielkie wrażenie i żal serdeczny.

Kapitan Bastyr cieszył się niezwykłem uznaniem dowódców, bo też wykonywał swe obowiązki z całą sumiennością i ofiarnością. Nie było dnia, aby kapitan Bastyr nie leciał po kilkanaście razy na front i wracał z niego szczęśliwie. Aż dziś tragiczna śmierć pozbawiła go życia.

Ludność Lwowa przyjęła z prawdziwym bólem wieść o tragicznej śmierci swego obrońcy i śmiało i bez przesady rzec można, że całe miasto wzięło udział w oddaniu ostatniej posługi bohaterskiemu lotnikowi, który tak pięknemi głoskami zapisał się na kartach jego dziejów. Tysiące mieszkańców ze wszystkich warstw społecznych wzięły udział w smutnym obrzędzie. Ulice i place, którymi przeciągał kondukt pogrzebowy, od kaplicy Boimów począwszy, a na cmentarzu Łyczakowskim skończywszy, zalało całe morze głów ludzkich, w orszaku pogrzebowym, prowadzonym przez X. biskupa dra Twardowskiego w asyście licznego duchowieństwa, postępowała rodzina zmarłego, przedstawiciele wojskowości z generałem Iwaszkiewiczem, Lamezanem i brygadyerem Mączyńskim na czele, oraz reprezentanci miejscowych władz i instytucyi.

Na czele orszaku pogrzebowego jechała kawalerya, następnie kompania piechoty ochotniczej z orkiestrą. Na karawanie zwracał uwagę olbrzymi bojowy aeroplan, a obok niego karabin maszynowy — wszystko zasypane setkami wieńców i bukietów. Gdy zwłoki Bastyra wniesiono na cmentarz, zapej-



Tragiczna śmierć polskiego lotnika: Duchowieństwo z X. biskupem Dr Twardowskim w pogrzebie ś. p. kapitana Bastyra we Lwowie.

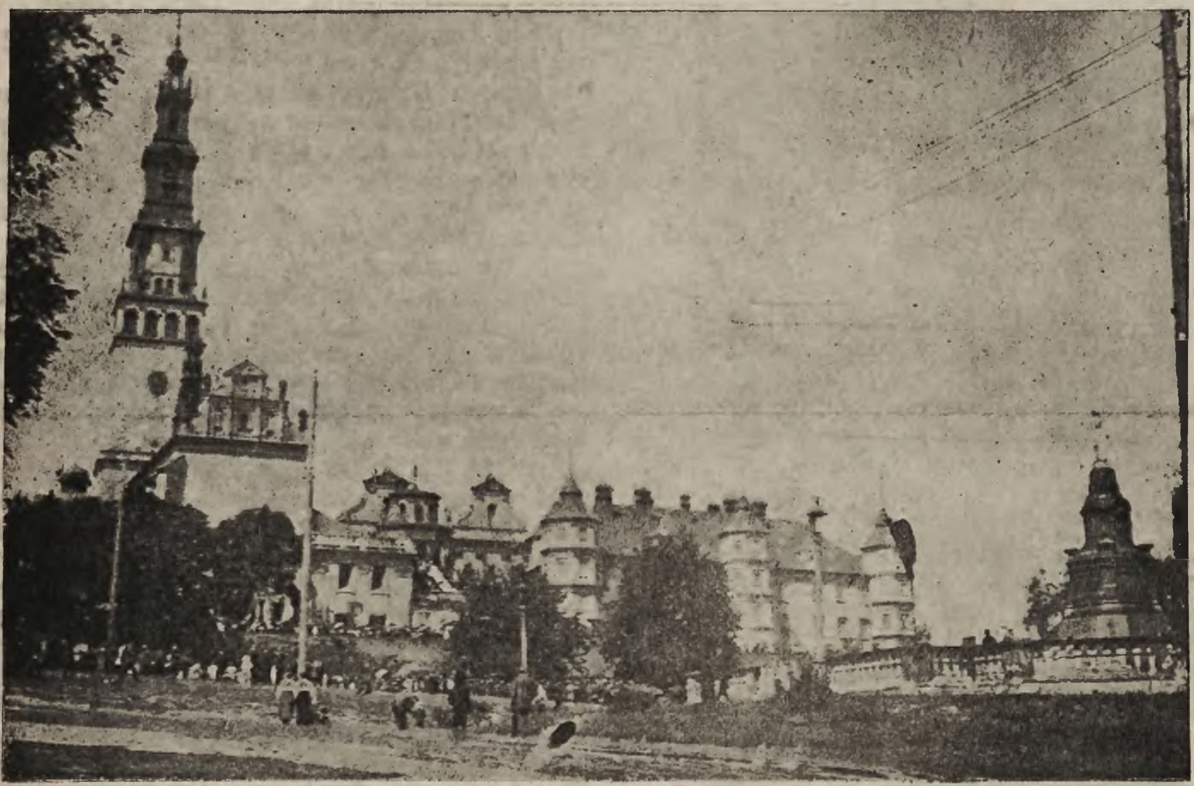


Prasa narodowa we Lwowie nie ustaje: Zbiórka złota i srebra na potrzeby polskiego skarbu.



Praca narodowa we Lwowie nie ustaje: Lotny kabaret frontowy po przedstawieniu na wzgórzu Cytadeli w dniu 6 sierpnia b. r.

nił się on ludźmi do tego stopnia, że wielu musiało pozostać na ulicach przyległych. Na cmentarzu wygłosił mowę kapitan Bac i wielu towarzyszy broni zmarłego.



Nabożeństwo błagalne na Jasnej Górze: Tłumy pobożnych w czasie procesyi po wałach klasztornych.

Spoczął na wieki w tej ziemi, w której obronie tylekrotnie i tak mężnie pierś swą nadstawiał.

Cześć Jego pamięci!

Praca narodowa we Lwowie nie ustaje.

Lwów jakgdyby uwziął się na to, aby w pracy narodowej wyprzedzić wszystkie inne miasta polskie. Niema dnia, abyśmy nie czytali o jakimś nowym dowodzie patryotyzmu polskiego Lwowa i jego mieszkańców. Jedynem ich dążeniem jest dziś pomoc Ojczyźnie.

Rada miasta Lwowa powzięła na posiedzeniu, odbytem w ubiegłym tygodniu jednogłośnie uchwałę, aby złożyć milion marek na cele armii polskiej, a kwotę tę przeznaczyła specyalnie na wyekwipowanie oddziałów ochotniczych, sformowanych we Lwowie.

Czyn piękny i godny naśladowania. Należałoby i innym miastom pójść w te ślady, samo bowiem podpisanie odezwy, wzywającej do składek na potrzeby państwa przez członków miejskiego prezydyum nie wystarczy!

Poza tem i na innych polach życia wre praca w całej pełni, nikt się od niej nie odsuwa, każdy spieszy z pomocą wedle sił i możności.

Sformowano oddziały ochotnicze, zaopatrzono je w broń i amunicyę oraz żywność, nie zapomniano też, że żołnierz potrzebuje także i rozrywki, dającej mu sposobność zapomnienia bodaj na chwilę o trudach ciężkiego żołnierskiego życia.

W tym celu utworzył się tutaj kabaret frontowy, mający za zadanie nie tylko bawić żołnierza, ale równocześnie i podnieść jego ducha. Utworzono w tym celu dobrany zespół, cieszący się wśród synów Marsa wielką popularnością.

Pomyślano także i o skarbie polskim i wzmocnieniu naszej waluty, cierpiącej na tem bardzo, że nie rozporządza podkładem kruszcowym. Złota i srebra u nas nie brak, spore zapasy kryją się dyskretnie po ogniotrwałych kasach i różnych innych schowkach, często idą na marne, a jeszcze częściej wywozi się za granicę przez niesumiennych spekulantów. Zbiórką szlachetnych kruszców na rzecz skarbu polskiego zajęły się gorliwie panie lwowskie, zawstydzając rodzaj męski, który gromadził je energicznie, ale... gdy były rząd austryacki apelował do naszych kieszeni. Za polskich czasów energia ich w dziwny sposób osłabła.

Na ulicach Lwowa ustawiono stoliki, przy których zasiadły panie, zachęcające do składania złota i srebra na potrzeby skarbu polskiego.



Nabożeństwo błagalne na Jasnej Górze: Przemowa przeora O. Markiewicza z wałów klasztornych do zebranych tłumów.

Jednem słowem Lwów w dalszym ciągu świeci pięknym przykładem!

Nabożeństwo błagalne na Jasnej Górze.

Dziwnie podobne są obecne czasy do tych, które nasz nieśmiertelny Sienkiewicz tak barwnie opisał w swym „Potopie". Jak wówczas nawała szwedzka groziła zalewem całej Polsce, tak dziś zagrażają jej



Nabożeństwo błagalne na Jasnej Górze: Tłumy pobożnych podczas nabożeństwa.

hordy bolszewickie, ale tak, jak wówczas duch narodu nie upadł, tak też i dziś żyje, wierząc w ostateczne zwycięstwo.

Momentem decydującym w wojnie szwedzkiej była właściwie cudowna obrona Jasnej Góry przed przemożnemi siłami najeźdźcy. „Kurnik“ oparł się potędze wroga, a jenerał Miller musiał ustąpić ze wstydem od oblężenia, widząc całą bezowocność swych wysiłków. Stało się to, iż w chwili, gdy Gustaw Adolf, oprowadzany przez kanonika Starowolskiego po katedrze wawelskiej, wysłuchawszy opowieści o losach Łokietka, rzekł z przekąsem: „Łokietek wasz powrócił, Jan Kazimierz nie wróci!“... W odpowiedzi rzekł na to Starowolski: „Królu! Fortuna zmienna, a Bóg cudy czyni!...“



Ofiarność naszego społeczeństwa na cele narodowe: Rudolf Kolaczek, wójt z Zebrzydowic na Śląsku Ciesz.

I spełniły się bardzo rychło słowa kapłana. Jeszcze król nie opuszcza murów katedry, gdy nadbiegł goniec od Millera, donoszący o odstąpieniu od oblężenia.

Stał się zaiste cud, a cudu tego dokazała żywa wiara ludu polskiego i męstwo obrońców jasnogórskiego klasztoru.

Wieść o tem rozeszła się rychło po całej Polsce, krzepiąc ducha narodu, już zupełnie zrezygnowanego i dodając sił do dalszej walki. Zawiązuje się konfederacya tyszowiecka, cały naród chwyta za broń i w krótkim czasie uwalnia swoje niwy od szwedzkiej szarańczy, a król Jan Kazimierz w podziękowaniu „Jasnogórskiej Panience“ za jej widoczną pomoc i opiekę ślubuje Jej w imieniu całego narodu w katedrze lwowskiej wieczystą wierność jako „Królowej Korony Polskiej“.

Setki lat minęły od tych strasznych chwil. Dziś nastały znowu prawie analogiczne stosunki. Gdy bolszewik zajmuje coraz dalsze przestrzenie naszej Ojczyzny, zwraca się naród polski, tak, jak to czynił zawsze w chwili nieszczęścia, do swej Królowej, która na Jasnej Górze obrała sobie stolicę, i błaga Ją o pomoc. Spieszą tu z całej Polski tłumy pobożnych, błagających o ratunek dla kraju i dla siebie, wielkie zastępy przybywają zwłaszcza z Górnego Śląska, prosząc gorąco o wyswobodzenie z pod niemieckiego jarzma.

I w tem także leży podobieństwo dawniejszych i dzisiejszych stosunków, że tak, jak wówczas Gustaw Adolf był zbyt pewnym zwycięstwa, są nimi dziś Lenin i Trocki. Widzimy to z treści tajnych traktatów, zawartych między Rosyą sowiecką a Niemcami i Austryą. Moskwa już się Polską podzieliła z sąsiadami!

W tej groźnej chwili, gdy zewsząd otoczeni jesteśmy nieprzyjaciółmi i niema nikogo, ktoby nam pospieszył z pomocą, zwraca się naród polski do swej Królowej w Częstochowie z tą pełnią nadziei, że Ona go nie opuści i zetrze w proch jego nieprzyjaciół, że się powtórzy ów cud jasnogórski z przed niespełna czterech wieków.

Tego rodzaju nabożeństwo błagalne, połączone z obchodem grunwaldzkim i „dniem ochotnika“ odbyło się na Jasnej Górze w ubiegłym tygodniu.



Nabożeństwo błagalne na Jasnej Górze: Przedstawiciele armii i władz podczas defilady wojska.

Wzięły w niem udział tysiączne tłumy, między nimi wiele Górnoślązaków, przedstawiciele władz oraz armii, tak stałej jak i ochotniczej.

Podniosła to była chwila, gdy po uroczystem nabożeństwie w kościele wyruszyła na wały klasztorne błagalna procesya. Niejedna myśl cofnęła się w te czasy, gdy taką procesyę prowadził X. Kordecki wśród huku armat szwedzkich i z niejednego serca popłynęło do tronu Królowej Polski westchnienie z prośbą, aby i teraz w ten sam sposób otoczyła naród nasz swą przemożną opieką, ratując go od grożącej mu zagłady.

Wśród pobożnych nie brakło i ludzi chorych, którzy kazali się tutaj przywieźć, aby modły swe i błagania złożyć z innymi.

Po procesyi wygłosił przeor jasnogórski O. Markiewicz podniosłe kazanie do ludu zgromadzonego na wałach, krzepiąc ducha nadzieją zwycięstwa słusznej sprawy, wzywając do gorliwej służby dla Ojczyzny i nie zapominania o Tej, która nigdy nie opuszcza oddających się w Jej przemożną opiekę.

Uroczystość zakończyła defilada 27 pułku piechoty przed komendantem Okręgu i reprezentantami władz, oraz skromne przyjęcie dla naszych dzielnych ochotników na podwórzu klasztornym.

Ofiarność naszego społeczeństwa na cele narodowe.

W uzupełnieniu artykułu, zamieszczonego pod powyższym tytułem w poprzednim numerze naszego pisma, podajemy obecnie podobiznę p. Rudolfa Kolaczka, wójta z Zebrzydowic na Śląsku Cieszyńskim, który na pożyczkę Odrodzenia i Obrony złożył milion marek i syna swego, zupełnie wyekwipowane go, wysłał do szeregów armii polskiej.

Pan Kolaczek dał piękny przykład szczytnego pojmowania obowiązków obywatelskich, składając na ołtarzu Ojczyzny daninę mienia i krwi. Nie mogąc z powodu podeszłego wieku chwycić sam za broń, nie wahał się oddać w służbę Ojczyźnie swego syna, który go godnie zastąpi. Nie wszyscy zresztą mogą się znaleźć na froncie, bo i w głębi kraju dość jest pola do rozwinięcia obywatelskiej działalności i pracy narodowej, zwłaszcza zaś na Śląsku, który i nadal zostaje najbardziej zagrożonym posterunkiem. Potrzeba też dzielnych ludzi, aby odzyskać, co straciliśmy i nic nie uronić z tego, co nam zostało.

Ofiarność pana Kolaczka powinna być wzorem i zachętą dla naszego ludu włościańskiego do spieszenia z pomocą zagrożonej Ojczyźnie.

Czyż nie korzystniej i dla nas samych ratować Ją bodaj w ten sposób, niż, dzięki naszej obojętności, wydać Ją na łup hordom bolszewickim, a z Nią razem i własne życie i mienie?...



Nabożeństwo błagalne na Jasnej Górze: Ochotnicy m. Częstochowy podczas nabożeństwa.

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania **wszystkich** zagadek.

Zagadki do nagrody.

Tajemniczy napis.

Podał Archeolog z Pompei.

Niedawno odkopano w Pompei tablicę z następującym tajemniczym napisem, nad którego rozwiązaniem naprożno łamią sobie głowę uczeni:

K... om... uwd... rog... et... emuc... Z... as.

Trójkąt magiczny.

Ułożył S. Sokołowski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach poziomych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko jednej ze stolic europejskich:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
■ — — — — —
■ — — — —
■ — — —
■ — —
■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz, 2. Imię męskie, 3. Rosyjski bolszewik, 4. Litera grecka, 5. Znany pierwiastek, 6. Miara powierzchni, 7. Spółgłoska.

Kwadrat magiczny.

Ułożyła M. Majewska, Zakopane.

Z podanych liter ułożyć cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a, a, a, a,
b, g, m, m,
m, o, o, r,
r, r, u, u.

Znaczenie wyrazów: 1. Król rzymski, 2. Nieuprawne pole, 3. Materya jedwabna, 4. Naród koczowniczy.

Okienko.

Ułożył K. B., Chrzanów.

Z podanych liter ułożyć trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym:

a	a	a	a	e
e		k		k
n	n	n	r	r
s		t		t
u	u	w	y	y

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka w Polsce, 2. Wielki plac w mieście, 3. Jeden z królów rzymskich.

Logogryf.

Ułożył Jan Zając, Wadowice.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko francuskiego powieściopisarza:

■
— ■ —
— ■ —
— — ■ — —
— ■ —
■
— ■ —
— — ■ — —
— ■ —
■

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska, 2. Zwierzę drapieżne, 3. Rzeka w Rosyi, 4. Imię męskie, 5. Część doby, 6. Spółgłoska, 7. Znany fizyk, 8. Część ubioru kapłańskiego, 9. Tytuł turecki, 10. Samogłoska.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył A. Balicki, Kraków.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć znany czterowiersz Krasińskiego:

--o-o---e----e--ia--ą,
-o-y-u-a-y-o--a-y.
--o----e-i-ie-a-a---a--o,
-io--e---u-a-ie---ie---a-y.

Grzebieniówka.

Ułożył S. Sokołowski, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby w szeregach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy nazwisko hiszpańskiego miasta:

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — —
— — — — —
— — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto we Włoszech, 2. Miejscowość w Galicyi wschodniej, 3. Tytuł władcy egzotycznego, 4. Gatunek psa, 5. Bożek rzymski.

Przysłowiówka.

Ułożył J. W., Zakopane.

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) --e-ie, -a--ie-a---i-a-ę-a--.
2) -y--e---a--a--o--i-a-y--e.

Zgłoskówka.

Ułożył L. G., Kraków.

Z każdego wyrazu wyjąć jedną zgłoskę a otrzymamy temat obecnych rozmów i ogólnych życzeń:

Korona, Zakopane, Szczakowa, Poniatowski, Zaporoże, Kozak, Hajota, Wesele.

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył J. W., Zakopane.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, a, a, ą, c, d, e, g, h, i, i. j, k, ł, m, n, p, t, u, z.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania dwie nagrody: 1. H. Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy" (Powieść), 2) Paczkę papieru listowego (25 arkuszy i tyleż kopert).

Rozwiązanie zagadek z Nru 32.

Kwadrat magiczny: Puck, ugor, Cody, Krym.

Zadanie do uzupełnienia: Kola, Apis. Zola, Iram, Moza, Ipek, Ezaw, Rzym, Zama, Wola, Igor, Epir, Lena, Kama, Idzi.

Okienko: Sokół, acap, łupki.

Zadanie na rozsypane litery: Wiara ludzi uzdrawia.

Trójkąt magiczny: Krasicki, Rokitna, Antoni, Solec, Iram, cal, ku, i.

Bilety wizytowe: Czarne, Bałtyk, Adryatyk, Czerwone, Atlantyk.

Przysłowiówka: 1) Przez ludzi do ludzi, przez Swiętych do nieba, 2) Kiedy trwoga, to do Boga.

Dobre rozwiązania nadesłali pp.: J. Kalinowski Poznań, E. Müller Warszawa, H. Frasiński Bochnia, J. Zawadzki Kraków, H. Gruszczyński Tarnów, J. Remer Sambor, Z. Malinowski Poznań, W. Rogalski Przemyśl, B. Wiśniewski Łańcut, M. Sawicka Lwów, S. Zajączkowski Rzeszów, L. Wierzbicki Rozwadów, T. Niemiec Bochnia, L. Berger Lwów, J. Opolski Stanisławów, Z. Lisowski Warszawa, M. Wikliński Kraków, W. Wolski Bydgoszcz, H. Mazurkiewicz Warszawa, J. Patelski Kraków, M. Mańkowska Warszawa, M. Stachowicz Kraków, H. Unger Lwów, M. Waszkiewicz Lwów, J. Nowak Kraków, K. Dębiński Jasło, M. Ogibińska Nowy Sącz, S. Sokołowski Kraków, W. Szczudłowski Jarosław, L. Gartner Rozwadów, M. Ostrowska Lwów, S. Rosenbaum Rzeszów, M. Kwiatkowska Warszawa, H. Maciejowski Winnica, J. Jastrzębski Lwów, J. Tomaszewski Biała, M. Jasińska Lwów, S. Brodziński Kraków, S. Zakrzewski Sandomierz, J. Gross Bochnia, W. Raczyński Kraków, S. Nowacki Lwów, M. Kotowicz Kraków, H. Gąsiorowski Warszawa, J. Jabłoński Lublin, K. Lipski Wiedeń, S Hoffmann Kołomyja, J. Martynowicz Lwów, M. Bodziński Kraków, J. Boczarski Lwów, M. Stanisławski Warszawa, E. Darowska Warszawa, J. Orzechowski Stryj, T. Nowicki Kraków, K. Radziszewski Warszawa, H. Waligórski Tarnów, J. Nowak Drohobycz, M. Hanasiewicz Stanisławów, K. Grabski Jasło, K. Kowalski Kraków, K. Koźmiński Tarnów, M. Kuczyńska Warszawa, L. Bogucka Warszawa, M. Lewińska Stanisławów, S. Grabowski Wadowice, K. Lipski Wiedeń, W. Lange Toruń, J. Majer Rzeszów, Z. Walkowski Rawa, S. Wysocki Biała, M. Czernecki Poznań, G. Gartner Kraków, M. Nowacki Jarosław.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) J. Kalinowski Poznań (książka), 2) J. Majer Rzeszów (papier listowy). — Upraszamy o nadesłanie 1 Mkp. na koszta poleconej przesyłki nagrody.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina pod zarz. St. Karczmarskiego.